



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEȚ.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

ZWROTKI.

V.

(Dzień będzie!)

Choćbyście chcieli gwiazd wstrzymać obroty,
Mroki powiększać, czas hamować w pędzie, —
Nie później jutrzni blask zaświeci złoty;
Ciemności pójdą precz!—dzień będzie!

Choćbyście chcieli czas przyspieszyć świtu,
Rozproszyć mroki, niecić blaski wszędzie, —
Nie wcześniej jutrznia zaświeci z błękitu;
Ciemności pójdą precz!—dzień będzie!

VI.

(Pożegnanie.)

Szczęścia mego krótkie chwile
Zamierają w wspomnień grobie;
Innym dałem pieśni tyle,
Tylko nic nie dałem Tobie.

Bo wyjawić pieśń gotowa
Uczuć pragnienia nieśmiała:
Innym dałem tylko słowa,
Tobie dałem serce całe.

J. K. Ehrenberg.

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

— Ależ przeciwnie—odparł ojciec—bawię się wybornie twojem powodzeniem, i dlatego nie gram.

— Wszystko to dobrze,—szepnął ojcu—lecz przed kolacją uciekamy. Książę oszczędny, a w kolacjach chce naśladować cud i pięciorgiem chleba i dwiema rybami nakarmić rzesze. W sali jadalnej formalne odbywają się turnieje. Dzieśięciu rycerzy uzbrojonych w widelce napada na jeden plasterk szynki.

— Cóż księżna?

— Nie widzą tego oboje, gdyż wierzą, że goście pasą i tuczą już samą swą łaską. Drogą nam jest łaska książęca, lecz droższem zaspokojenie głodu. Na kolacją pójdziemy do Żorża.

— Boję się, aby się książę nie obraził — szepnął, ojciec.

— Ależ będzie kontent! ubędą dwa szturmujące widelce. Dlatego jestem w łaskach u księcia, że zawsze wychodzę przed kolacją, a często przyjaciół zabieram. Będzie mnie za to protegował; jestem pewny.

— Zgoda, lecz przetańcz jeszcze. Hrabina Iza zpod wachlarza — patrzy na ciebie.

Adam pobiegł do hrabiny Izy, ujął silnie jej kibić i, przecinając miarowo takt walca, suwał się po woskowanej posadzce.

— Dzielny chłopak — powtarzał zcicha pan Jan.—Hrabina rozkoszuje się walcem i siłą uścisku tancerza. Janie miałem takiej młodości: dwadzieścia pięć lat w jarzmie ciężkiej pracy. Dziś zaledwie odradzam się w synu, żyję jego tryumfami, współczuję jego radości. Dziś dopiero przychodzi nagroda za trudy i walkę całego życia... Walc go rozmarzał, popychając myśli w sfery młodości.

— Ojcie, już czas—złudził go Adam.—Słyszę brzęk talerzy w jadalnej sali. U Żorża czeka nas kapłon z trufkami i butelka bufgunda. Jadąc tu, wstąpiłem umyślnie zamówić.

— Jesteś przezorny.

— Raczej nauczony doświadczeniem.

Ojciec i syn wysunęli się niepostrzeżenie z salonu.

— Damy zobaczą twoją nieobecność.

— Jeżeli tylko naprawdę, to karyera moja za-pewniona — odparł wesoło Adam, podając ojcu ramię.

Zbiegli szybko na dół do Maryackiego Placu i czekającego na nich kapłona u Żorża.

Nazajutrz o 11-tej godzinie wieczorem syn odwiózł ojca na pośpieszny pociąg, pożegnał, ucałował, zaprowadził do wagonu i dopiero, kiedy pociąg ruszył, zawrócił, każąc się wieść do mieszkania aktorki.

XV.

Cięzko było Tadeuszowi w pierwszych chwilach pobytu we Lwowie. Dostał wprawdzie w Wydziale Krajowym tymczasowo posadę, lecz za czterdzieści zaledwie guldenów na miesiąc. Nędza-by mu dokuczala, gdyby nie zaoszczędzony grosz i gdyby nie paręset złotych otrzymanych ze sprzedaży skromnych sprzętów. Nie skarżył się jednak: przeciwnie, czuł się w stolicy swobodnym, rzeźkim, odmłodzonym. Znalazł przyjaciół z czasów szkolnych,

przez pośrednictwo Rębowskiego nowe porobił znajomości, wszedł do kilku stowarzyszeń i miał nadzieję otrzymania posady buchhaltera z chwilą otwarcia nowej instytucji.

Dla Julii wynalazł dwie lekcje muzyki. Dziewczyna, pod pozorem, że była przyzwyczajona do pracy, że w domu muzyka, malarstwo i książka nie mogły wypełnić całego dnia, pokonała opór rodziców.

Co rano Tadeusz, idąc do Wydziału, czekał chwilę przed mieszkaniem Rębowskich, póki nie wyszła Julia uzbrojona w teczkę z nutami. Witali się szczerze i serdecznie, jak dwóch dobrych przyjaciół. Tadeusz odprowadzał ją zawsze do bramy domu, w którym dawała lekcje; żegnali się uściśnieniem ręki i rozchodzili, aby się zwykle zobaczyć wieczorem.

Na ulicach, które przechodzili, znano tę parę. Stróże kamieniczeni witali ich uchyleniem czapek i pozdrowieniem na dzień dobry. Jedni mieli ich za małżonków, drudzy za rodzeństwo. Kwestya ta między służącymi a stróżami nie była rozstrzygnięta.

Julia rozumiała muzykę, była punktualną i wytrwałą; uczennice jej robiły postępy i skutkiem tego dostała jeszcze dwie lekcje w popołudniowych godzinach. Powodzeniem tem była dumna, zarobionymi pieniędzmi mogła nietylko siebie ubrać, lecz i niejedną pociachu łzę otrzeć.

W jesieni, około godziny piątej, wracając „Wąłami hetmańskimi“, spotkała się niespodzianie z Adamem. Udać wzajemnie, że się nie widzą, nie mogli. Adam schwycił za kapelusz, ukłonił się. Dziewczę na ukłon odpowiedziało przyjacielskim skinieniem głowy.

— Pani tak już dawno we Lwowie, a dziś dopiero spotykamy się...

— Gdyż jak zawsze i wszędzie tak i tu drogi nasze rozchodzą się. Pan w wielkim świecie, ze mnie zrobiła się mieszcanka.

— Dlaczego wszędzie? Były chwile, kiedy drogi nasze prawie, że się schodziły.

— Aby się potem szybciej rozdzielić—odparła dziewczyna rezolutnie.

Odpowiedz ta podrażniła Adama.

— Rozpaczasz pani za Rębowem, tęsknisz?...

— Tęsknię, lecz nie rozpaczam. Przyzwyczajeni do miejscowości, związani wspomnieniami z kątem rodzinnym, mniemamy że nigdzie już żyć nie jesteśmy zdolni. Później przekonamy się, że można się przyzwyczaić i do odmiennych stosunków.

— Pani się Lwów podoba?

— Miasteczko, w którym łatwo zniknąć można. Mamy paru przyjaciół, ja—pracę.

— Pani zarabiasz?

Pokazała tekę.

— Jest to mój porte-feuille... a ministeryum moje—muzyka. Pana to dziwi?

— Byłem pewny, że z Rębowa tyle zostało.

— Nie chcieliśmy żydowi sprzedawać... — zamilkła.

Adam uczył ukłócić.

— Daleko państwo mieszkacie?

— Na Stryjskiem—z Wąłów Hetmańskich kawalek.

— Podołasz pani zajęciu w zimie?

— Muszę, tak jak pan będzie musiał podołać przyjęciom i balom w wielkim świecie.

— Pani mi zazdrościsz?

— Dawniej z pewnością—bym to zrobiła; dziś—nie...

— Dlaczego specjalnie dzisiaj nie?

— Ależ nie specjalnie. Poznałam ten świat; żyjąc w nim, nudziłam się śmiertelnie. Nie żałuję się tego, co nas nuży i męczy.

— Dawanie lekcyi muzyki nie męczy i nie nuży pani? Woli pani iść z teką na lekcje, aniżeli jechać na bal?

— Ponieważ pan rozkoszuje się w atmosferze salonów, zatem odpowiedzi mojej nie mógłbyś zrozumieć.

— A jeżeli i mnie dusi atmosfera, o której pani mówi?

— W takim razie to już możesz mnie pan zrozumieć.—Zatrzymała się przy końcu wąłów.—Mimo to drogi nasze rozchodzą się.

— Czy pani pozwoli, abym rodziców odwiedził?—spytał, patrząc się w oczy dziewczęcia.

— Nie rób pan tego—prosiła—Rany poniesione stratą Rębowa jeszcze nie zagojone. Mamie widok pana mógłby sprawić wielką boleść.

— Nawet, jeżelibym przyszedł prosić o przebaczenie?

— Nikt się na pana nie gniewał, a są tacy, którzy żywią dla niego wdzięczność. Rębów sprzedany, namiętność utrzymania się przy rodzinnym kawalek ziemi przygasła. Fakt spełniony...

— Więc ja miałem być środkiem ratunku?

— Mam jedną wadę a może przymiot: szczerłość.

— Nie wierzy pani w prawdziwość moich zamiarów?

— Niewierzyć nie mam powodu. Ludzie wtedy mówią nieprawdę, gdy mają w tem interes. W tej chwili podrażniona miłość własna, kaprys, każe panu być szczerym.

— I za szczerłość...

— Odplacam panu szczerością.

— Ja zaś pani nie wierzę i przyjdę.

— Nie przyjdiesz pan, choćby dlatego, aby nas nie zmuszać do niegrzeczności nieprzyjęcia pana... Jak na zwyczaj lwowskie, za długo rozmawiam z młodym człowiekiem. Mogłaby ucierpieć moja sława nauczycielki. Niechże to będzie ostatni raz.—Skłoniła się i przebiegła na drugą stronę ulicy.

Adam stał nieruchomie, zapatrzony w dziewczynę.

— Uratowała mnie—szepnął.—Gdyby się zgodziła i pozwoliła, abym przyszedł, cóżbym zrobił?... Oświadczył się i ożenił. Dziewczyna śliczna, rozumna, imponuje mi godnością i siłą woli. Posiada to, na czem mnie zbywa. Wyrwałaby mnie z objęć aktorki. Z ojcem stoczyłbym raz walną bitwę—i wygrał. Matka przepłakałaby cały dzień, lecz nazajutrz łez-by nie stało, źródło-by ich wyschło.

Zawrócił i poszedł dalej wąłami z pochyloną głową. Machnął gwałtownie ręką.

— Stało się—rzekł z niechęcią.—Idźmy dalej udeptanymi ścieżkami zwyczajów. Przecież ja nie mogę być innym, niepodobnym do mego ojca... Dała mi odprawę tak stanowczo, tak wyniosłe zamknęła mi drzwi swego domu.—Uśmiechnął się litościwie. —Dwadzieścia panien znalazłbym we Lwowie, ładnych i młodych, mających po parę-kroć sto tysięcy posagu, któreby na propozycję ożenienia się z niemi rzuciły się w moje objęcia. Ta jedna zruinowana szlachcianka, nauczycielka muzyki, odepchnęła mnie. I dlatego imponuje mi. Bała się, abym nie przyszedł, przeczuwa, że rodzice byłiby za mną. Boi się z nimi walk—boi się płaczu matki, zakłęk ojca. Nie ulega wątpliwości, że starzy mieliby ochotę wrócić do Rębowa.

— Zmaltretowała mnie. Żadnej walki nie dostrzegłem na jej twarzy, w głosie. Mówiła, jak gdyby o pogodzie, traktowała mnie jak rzecz, odrzuciła rękę milionera, jak dyurnisty, i nareszcie zakazała mi zbliżać się do siebie. Chyba musi się kochać?... Nie wiedząc dlaczego, stanął mu w myśli Tadeusz.

— Niepodobna—szepnął—Sekretarz rady powiatowej, człowiek przeszło czterdziestu lat... niepodobna. Ale przystojny jeszcze, nieszczęśliwy, emigrant, przyjaciel domu, rozumny, dobry, dobrze wychowany... I do tego doszedłeś, aby cię pobijali sekretarze rad powiatowych! A niechże cię piorun trzaśnie!

— Przecież go tu niema. Nieobecność wywołuje tęsknotę. Ojciec mój nie należy do arcy-przyjemnych zwierzchników, jest więc i powód do litości, do współczucia. Dostyć czynników się składa na wyhodowanie w sercu exaltowanej dziewczyny serdecznego uczucia. —Zatopiony w myślach przeszedł ulicą Sykstuską do Jezuickiego ogrodu. Spojrzał na gmach sejmowy; w tej chwili z bocznej bramy wysunęła się postać mężczyzny. Adam miał wzrok myśliwego.

— Ruchy Tadeusza — szepnął i przyspieszył kroku.—To Tadeusz, niezawodnie on. I nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczął prawie biedzą.

— Tadeusz! — zawołał na ulicy Kościuszki.

Tadeusz stanął, zbladł i sposepniał. Nie wiedział co ze sobą zrobić.

— Zapomnijmy o starych dziejach — rzekł pierwszy Adam. Przebac mi uniesienie, musiałem się bronić. Przywitajmy się, jeżeli nie jak przyjaciele, to przynajmniej jak dobrzy znajomi. Wyciągnął rękę, Tadeusz podał mu swoją.

— Powiedz mi: z kądzies się wziął, co tu robisz i na jak długo do Lwowa?

— Nazawsze; wypędzony przez twego ojca, pracuję w Wydziale.

— Dziś już niezawodnie nie gniewasz się na niego. Wydaleniem nas z małego miasteczka prawie zawsze robią nam przysługę.

— Dlatego jedynie jestem prawie wdzięczny twemu ojcu.

— Cóż myślisz?

— Czekam na posadę w Banku Krajowym.

— Wybornie.—Mówiłeś mi, że byłeś buchalterem. Wielki świat dowie się, że już zamówiony buchalter z Paryża przyjechał.

— Będzie to zakrawało na błagę.

— Bez błagi posady nie dostaniesz. Na ten rodzaj reklamy musisz być przygotowanym. My tu wszyscy prawie żyjemy blichtrzem, błagą, i dobrze nam.

Tadeusz się uśmiechnął.

— Miałem—mówił dalej Adam—dziwne przed chwilą przejście. Dostałem najenergiczniejszą odprawę. Zamknięto mi drzwi domu. Osobą tą była panna Julia Rębowska. Przysięgam ci, że gdyby mnie nie odepchnęła, zwalczyłbym opozycję rodziców... Czy masz teraz zadosyćczynienie?

— Mam—szepnął Tadeusz.

— I przebaczasz mi?

— Przebaczyłem już.

— A teraz: czy się domyślasz, dla kogo odepchnęła mnie panna Rębowska?

— Prawdopodobnie dla nikogo — odparł Tadeusz.

— Zdaje mi się, że się mylisz — rzekł Adam, wpatrując się znacząco w Tadeusza. — A teraz odwiedź mnie, gdy będziesz miał czas, lub daj mi adres. Żyjmy dalej w zgodzie.

Tadeusz podał mu kartę wizytową.

— Wpadnę rano, wracając z karcianej bibki. Przybycie twoje do Lwowa zareklamuję. Należy ludzi przyzwyczajając do uważania cię za pierwszego buchhaltera przyszłego banku, a wtedy zostaniesz nim. Do widzenia. — Uściśnął go za rękę i odszedł szybko.

Tadeusz patrzył za nim.

— Jeżeli to wszystko prawda... — Nie śmiał dokończyć, radość rozsadała mu serce.—Dowiem się dziś jeszcze: odpowie mi sama. — Pobiegł żywo. Miał lekcję buchalteryi podwójnej i śpieszył się. Adam zabrał mu dziesięć minut czasu.

— Ciekawy jestem: czy sama się zwierzy? Myśl ta przesładowała go.

— On ją kocha, kwestyi nie ulega—rozprawia Adam półgłosem, biegnąc na obiad do Żorza.—Niepodobna, aby u tak szlachetnej dziewczyny nie miał wzajemności. Pobił mnie czterdziestoletni emigrant, mający tysiąc złotych rocznego dochodu. U Reni, kto wie czy mnie nie pobije komik; ale jeszcze nie dziś: Renia nadto rozumna. Ma czas, poczeka z pięć lat. Tylko ja nie będę czekał tak długo na jej zdradę.

Wszedł do restauracyi; nikogo nie było ze znajomych.

— Coby to było — bawił się myślami, czekając na zupełną, — gdyby Julka przyjęła moje oświadczenie? W tej chwili siedziałbym między matką i córką. Matka ocierałaby łzy rozrzewnienia, Julka promieniała zwycięstwem. Sprowadzonoby przyszłego teścia, blagowałoby mnie swoją wielkością i zasługami poniesionymi dla kraju. Wieść w dwadzieścia cztery godziny gruchnęłaby po mieście. Z salonów wpadłaby za kulisy, i wtedy rozpoczęłyby się awantury. Z jednej strony Renia zużyłaby cały swój arsenał tragiczny, z drugiej strony Wilczyce bombardowałyby mnie granatami grózb. A ja, zakuty w pancerz, znośliłbym mężnie pociski.

— Julka śliczna dziewczyna, niema w niej śladu gry; Renia już mnie zaczyna męczyć swym dramatem.

NOWINY PARYZKIE.

Cobyś powiedział, gdyby w tej chwili jeden z twych przyjaciół bałamucił ci Renię? I ona, w dramatycznym zapale składając ręce, jak do modlitwy, szeptałaby:—Uwolnij mnie od niego, to jest odemnie...—Nóż, który trzymał w ręku, ścisnął nerwowo.

— Jaśnie pan, jak zawsze, koniak przed zupą? Adam skinął głową, służący przyniósł na tacy flaszkę i kieliszek. Młody człowiek napił się raz i drugi. Ciepło spirytusu orzeźwiło go.

— Renia ma rozum — szepnął. — Nie wierzę w jej cnotę, lecz rozum ma—powtórzył. Zjadł szybko obiad i pobiegł na Teatralną Ulicę...

— Droga, zdradziłem cię!—zawołał wesoło. — Przed godziną oświadczyłem się.

Dziewczyna zbladła.

— I dostałem odprawę,—dokończył.—A coby było gdybym nie dostał?...

— Zamordowałabym cię — zawołała, rzucając mu się w objęcia. — Lecz, Adasiu, ja nie wierzę.

Adam pozwolił jej nie wierzyć.

Wieczorem Tadeusz wsunął się cicho do saloniku Rębowskich. Ciemno było; z przyległego pokoju Julii przyćmione niebieską zasłoną światło rzucało łagodne blaski. Julia, zaczytana, nie słyszała wejścia Tadeusza. Dopiero, gdy stanął na progu, podniosła oczy.

— Wchodzisz pan, jak duch—mówiła wesoło, witając się. — Przychodz w jakiej cheesz postaci, bylebyś przychodził. Siadaj, odpocznij, a potem opowiadaj o wielkich wypadkach dnia. — Nie widzieliśmy się tak dawno.

— Pani nie ma nic do opowiadania.

— Niewiele.

— Ja zaś bardzo dużo.

— Dużo?

— Spotkał mnie Adam.

— I zaczął?

— Odważył się, przeproszał, był uprzedzająco grzecznym. Pozwolił pani, abym mówił dalej?

— Ależ proszę.

— Wspomniał mi o spotkaniu się z panią i otwarciu przyznał, że się oświadczył.

— I cóż więcej?

— I że został odepchnięty.

— Jeżeli się oświadczał, kłamał.—I pan mu uwierzyłeś?

— Przysięgał się, że traktował rzecz zupełnie poważnie.

— Tem lepiej, żem mu stanowczą dała odprawę.

— Lecz czy korzystniej?—szepnął Tadeusz, aby sobie nie mieć nic do wyrzucenia.

— Dajcie mi już raz pokój z zyskami i korzyściami. Męczyłam się niemi blisko dwa lata. Gotowam była poświęcić mu własną godność. Rębową już niema, a zatem niema powodów do ofiar. Wszystko się skończyło. Teraz przynajmniej pozwólcie mi wśród pracy i ciszy odpocząć. Dlatego, proszę pana, ani słowa o tem przed rodzicami. Nie mam już ani ochoty, ani sił do walki i nie chcę walczyć. Nie pozwolę, aby mnie aż tu ściagały spekulacje, w których odgrywałbym rolę towaru.

— Przebacz pani—odezwał się nieśmiało Tadeusz — nie wiedziałem...

— Powinieneś pan wiedzieć—przerwała. Łzy z oczu jej wytrysły.

Jeszcze Tadeusz nie ochłonił z wrażenia, gdy weszła Marszałkowa.

— Nie spodziewałam się, żebyś pan potrafił dokuczać. Julia łyż ociera.

Tadeusz stał jak winowajca, nie wiedząc co mówić i jak się bronić.

— Ależ zaręczam panią Marszałkową—zaczął cicho.

— Nie rozpaczaj pan: jedynaczka nasza jest rozdrażniona. To przejdzie... Nie może się przyzwyczaić do peltwiańskiego powietrza, lekcye ją męczą—westchnęła.—Cóż robić!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jeszcze ogon Sprawy Bulanżerowskiej. — *Fortes fortuna adjuvat.*—*Prima Aprilis.*—Odwrót generała. — *Quis?*—Przyszłe a blizkie otwarcie Wystawy Paryzkiej. — Rzut oka z góry. — Ciekawa panorama. — Flotta parowców towarzyszy „de la Navigation Interocéanique”. — Program przyszłej wystawy. — Wystawy specjalne Akwarelistów i Kobiet artystek.—Fonograf Edisona w Akademii Nauk paryzkiej.—Szczegóły posiedzenia. Budowa przyrządu. — Pułkownik Gouraud i jego wyjaśnienia. — Nekrologiczne wspomnienia: Chevreul, de Najac, L. Ulbach, Julian Barbey d'Aureville—Powodzenie p. Paderewskiego i koncert kompozytorski Wł. Żeleńskiego.

Paryż, d. 30 Kwietnia 1889 r.

Jak to łatwo można było przewidzieć, Sprawa Bulanżerowska, postawiona na ostrzu noża, musiała się rozwiązać, albo zupełnym tryumfem generała, albo jego porażką. Z ostatniego mojego listu czytelnicy łatwo mogli taką alternatywę wyprowadzić. Rozwiązanie Ligi Patryotycznej było dowodem, że nowe ministerium—kombinacja oportunistów z radykałami—gotowe jest na wszystko, i że dla obrony zagrożonej sytuacji, zarówno parlamentu, jak i swojej własnej, nie waha się usunąć ze swej drogi wszelkiej przeszkody i złamać wszelkiej zapory, chociażby nią była nawet względna legalność. *Fortes fortuna adjuvat!* Pod tym sztandarem ruszyli do boju, i wygrali przynajmniej chwilowo—wygrali, bo ich przeciwnicy, niegotowi do stoczenia walki na prawdę, postanowili zwinąć czasowo chorągiewkę aby na przyszłych dopiero wyborach rozprawić się stanowczo. Ta zmiana frontu nie zadziwiła tu nikogo; jak mówiłem, było to do przewidzenia.

Przecież nagły wyjazd generała do Bruxelli—było to dla nas prawdziwe *Prima Aprilis*. D. 1 Kwietnia wieczorem Boulanger opuścił Paryż, a nazajutrz zrana dowiedzieliśmy się tu wszyscy, w jakich warunkach i w jaki sposób spełniła się ta Hegira nowego politycznego proroka. Nie powtarzam tu faktów, boście znaleźli już w waszych i obcych dziennikach obszernie sprawozdania, a ja nie nowego dodać do nich nie mogę, oprócz chyba tej jednej uwagi, że w gruncie widoczna było rzeczą, iż rząd i jego policja—świadomi tego, co się działo u generała, jeśli go z rąk wypuścili z taką łatwością, to dlatego, że dobrowolnie wydaleni się za granicę Francji takiego kandydata do wszelkiej politycznej entrepryzy było zapisane w programacie ministerium: Boulanger za drzwi wypchnięty—to na razie połowa wygranej. Unikniono w ten sposób trzymania pod kluczem takiego więźnia stanu w chwili otwarcia wystawy. Nie potrzebowano już wytaczać rozgłośnych processów, poruszać wszystkich mętów jego stronnictwa i wszystkich malkontentów. Była to rzecz dyabło niewygodna, a chociaż, mając rząd w ręku, i będąc zdecydowanymi na wszystko, mieliby zapewne i ostatnie słowo, woleli przecież pozbyć się przeciwnika i zamknąć mu powrót.

Ale i Boulanger mądrze postąpił, w stosunku do własnych dążeń swoich, wymijając niejako ostateczność nieuniknioną. Jak Mahomet zaznaczył on swoją Hegirą nową epokę w swej walce przeciw Rzeczypospolitej. Sprawa rozstrzygnie się dopiero na przyszłych wyborach, bo to, co się teraz dzieje, nie ma żadnego istotnego znaczenia.

Senat zamieniony w trybunał kryminalny jest i pozostanie zawsze trybunałem politycznym, sądem wyjątkowym, i opinia jest i będzie mu zawsze przeciwną i wrogą. Pomimo wszystkiego, o czem donoszą dzienniki rządowe, sławna ta kommissya czterech, „de la haute Cour”, nie znalazła żadnego dowodu konspiracji; ale ostatecznie znajdzie jakieś winy, bo w tych rzeczach wiadomo, jak sobie poczynają sądy wyjątkowe. Ale po wszystkich tych processach i wyrokach nastanie przecież chwila, w której potrzeba będzie przyjść przed wyborców, jak się to już stało w Styczeniu. Kto wie, czy większość wyborców nie wyda nieodwołalnego dekretu w tej sprawie i czy nie powoła Boulanger, nie dlatego, że Boulanger,

ale dlatego, że służy za uosobienie wszystkich niechęci, całej nienawiści i pogardy, jaką czują stronnictwa monarchiczne, tak silne jeszcze we Francji, do tego, co się tu dzieje.

Już dekret zapadły w sprawie Ligi Patryotycznej był tem ostrzeżeniem, które prawo dawało ludziom gwałcącym legalność. Zapewne i owi rzuceni na lawę oskarżonych nie byli bez winy, ale kiedy się bierze na bary ten straszliwy ciężar rządzenia w imię wolności i sprawiedliwości, należy być rzetelnie przygotowanym do spełnienia ciężkiego obowiązku. A kto się podejmuje prowadzić ludzi rozumem i poczuciem samej tylko powinności obowiązków obywatela wolnego, ten musi być gotowym do prowadzenia walki z wszelkimi przeciwnościami samym tylko rozumem i prawością, aż póty, póki gwałt nie wywoła środków odpornych i stanowczych. Jak długo ktoś stoi na drodze legalnej, nikomu nie przysługuje prawo uciekania się do przemocy i siły.

P. Boulanger, jak wiecie, jest w tej chwili w Londynie. Sprawa jego agituje się w wielkiej tajemnicy w kommissyi senatu. Cożtąd wypadnie: dowiemy się z czasem. Tu nic się nie zmieniło, co do stanu kwestyi bulanżerowskiej w kraju. Niema agitacji, ale też niema i apatyj.

Ale oto inne, spokojniejsze sprawy powołują naszą uwagę w inną stronę. Jesteśmy w przededniu otwarcia Wystawy Powszechnej, a d. 5 Maja w Wersalu ma się odbyć obchód pamiątkowy stuletniej rocznicy otwarcia Stanów Generalnych—z których wyszły wypadki, nieobliczonej doniosłości i wagi. Tę rocznicę stuletnią ten jubileusz będą obchodzili urzędownie w Wersalu 5 Maja, a następnie 6-go odbędzie się także otwarcie wystawy, bo rzeczywiste, po wykończeniu wszystkich przygotowań, z jaki miesiąc jeszcze poczekać na siebie każe.

Wystawa, jako zbiór pałaców i gmachów tymczasowie skleconych, przedstawia się niezaprzeczenie wspaniale. Jest to pomysł wcale nowy i bardzo szczęśliwy; nie ograniczyć się wcale do jednej, ogromnej i ciężkiej budowy, jak to się działo zwykle tu i na całym świecie, naśladowując w tem pierwszą wystawę londyńską w 1850 r. w sławnym „Cristal-Palace”, wzniesionym w Hyde Parku. Owa rozmaitość i wielka ilość budynków, wszelkiego stylu i architektury, przedstawia dla oczu powabny i czarujący prawdziwie widok. Dziś osłabia jeszcze to wrażenie nieład, nieporządek, towarzyszący koniecznie niedokończonym robotom budownictwa i urzędzenia. Ale kiedy to stanie w zupełnym porządku, pod koniec zapewne Maja, kiedy się wszystko zapełni okazami przemysłu i sztuki i ludźmi ze wszystkich stron świata, śpieszącymi na to widowisko—wrażenie, jakie każdy wyniesie z tej wystawy, będzie to przyznanie pierwszeństwa tej Francji, która wszędzie i zawsze, gdzie chodzi o smak, miarę i uczucie piękności, trzyma i dotąd, i zawsze trzymać będzie, berło królewskiej wyższości. Jest to w naturze tych ludzi i w ich narodowym geniuszu, że umieją nadać każdej rzeczy, pewne, tak powiem, piętno wytwornego smaku, który nie jest może najwyższem wyrażeniem prawdziwego piękna, ale odpowiada najlepiej temu, co jest wewnętrznem *desideratum* naszej rasy... Wszystko tu zadość czyni wymaganiu najwymyślniejszej nawet natury; żadne opisy nie mogą objąć tego ogromu, jaki tu przedstawia oczom zaczarowane miasto, powstałe z ziemi, na skinienie czarodziejskiej laski. Na tem skończę na dzisiaj.

Wczoraj, dzięki usłużności przyjaciela artysty, zwiedziłem panoramę wystawioną staraniem i kosztem Towarzystwa „de la Navigation Interocéanique”, którego siedziskiem jest Havre. Panorama przedstawia część miasta Hawru z widokiem na port i na morze, gdzie, uszykowana w porządku bojowym, okazuje się w całym blasku, liczna i piękna flotta wszystkich statków towarzystwa. Parowce te, olbrzymich rozmiarów, przeznaczone do żeglugi pomiędzy Europą, Ameryką i Azją, są, jak wiecie, ostatnim wyrazem sztuki budowniczej marynarki; każdy z nich może być uznany za arcydzieło w swoim rodzaju, tak co do bezpieczeństwa, jak co do wewnętrznego urządzenia, dla wygody i przyjemności podróży.

Otóż cała ta flotta w panoramie przedstawia

się zdziwionym oczom widza ze złudzeniem, które prawdziwie dochodzi do czarodziejstwa. Urządzenie światła jest tak doskonałe, że człowiek patrzący i przekonany, że jest w panoramie, zapomina po chwili i pewien jest, że to widzi w naturze i na jawie.

Twórcą tej nowej panoramy jest malarz p. Poilpot. Dał się on poznać z prac wykonanych tu, w Anglii i w Ameryce. Pracując za Oceanem, osiągnął taką doskonałość wykonania, że bezwarunkowo trzyma dziś palmę pierwszeństwa. Panorama Poilpot'a ma jeszcze i tę wielką zaletę, że możemy w niej oglądać to, czego, nie zobaczymy nigdy, nawet na miejscu, w Hawrze: mianowicie zupełne zebranie wszystkich parowców kompanii transatlantycznej.

Jak widzicie, zaczyna się to wybornie. Jest to jedno z tych zjawisk wystawy, jakich możemy się spodziewać bez liku. Tembardziej rad jestem oddać tę sprawiedliwość, ja—com nie wierzył w urzeczywistnienie pomysłu powziętego przez Republikanów.

Ale muszę się tu zatrzymać; wystawa nie jest jeszcze otwarta, a zatem wszelkie opisy należy odesłać do przyszłego miesiąca. Jest tu wstępnych próbek w tym rodzaju mnóstwo. Od Paryżanów zaczawszy, którzy się wynoszą pod strych lub na wieś, aby wynająć własne mieszkanie ciekawym cudzoziemcom, do hoteli, episyerów, przekupniów i kupców wszelkiego rodzaju, jest tu cały legion spekulantów, w zwartym szeregu dążących na rozplatanie kieszeni tych, którzy pośpieszą do stolicy. Na czele tych oczekiwanych przybyszów zapowiadają całe kolonie Amerykanów i Amerykanek.

Cząstkowe i poszczególne wystawy doroczne i niedoroczne nie pozostały w tyle tych słonecznych wyścigów. Wystawa akwarelistów, wystawa artystyczna płci żeńskiej, wystawa wolnych i niepodległych malarzy, wystawa wojskowa, czy wojenna—słowem: wystawa wszystkiego i wszystkich—a co figiel, to grosz.

Nie będę się jednak silił dać temu wszystkiemu miejsce na tych kartkach, bo byłoby za wiele gadania, a wszystko to lepiej się znajdzie w raporcie o wielkiej wystawie, do której wpłyną, jak do morza, te drobne strumienie. Zresztą o wystawie akwarelistów tegorocznej niewieleby można powiedzieć zajmującego dla was. Poziom tych specjalistów coraz się obniżał, skutkiem nieobecności tego lub owego mistrza w swej sztuce; zapożyczając wyrażenie z dykcyonaryza rybołówstwa, były to same tylko kielbie... Co do wystawy „kobiet artystek”, ponieważ największą jej ozdobą były malowidła i rysunki naszej rodaczki, panny A. Bielińskiej, którą Francuzi, choć łatwą do napisania, musieli przerobić na „Bilińska”, zobaczymy się z nią na wystawie dorocznej sztuk pięknych, w Pałacu Przemysłu na Polach Elizejskich, gdzie oglądać będziemy znakomity portret jej pendzla. O tem więc wszystkim powiemy w swoim czasie i na swoim miejscu: zamknę więc tu ten długi nawias o dodatkowych wystawach i czytelników moich zapraszam do przyszłych listów.

Jest przecież wyjątek, który muszę uczynić ze względu na ważność przedmiotu. Chcę tu powiedzieć słówko o Fonografie Edisona, i o objaśnieniach dotyczących się poprawy i ulepszenia tego przyrządu, przedstawionego d. 23 Kwietnia r. b., Akademii Nauk w Paryżu, przez zastępcę sławnego wynalazcy, pułkownika Gouraud'a. Pokazuje się, że tam, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, wszyscy ludzie dystyngowani są pułkownikami, a co najmniej kapitanami. Dodają to, aby nie zdawał się wam dziwnym ten stopień wojskowy, pod którym występuje człowiek uczony.

Czytelnicy moi wiedzą już niechybnie, co to jest *fonograf* i czem się różni od *telefonu*. Nie mogę tu, nawet w najcisłjszym streszczeniu, wchodzić w szczegółowe opisy przyrządu; powiem tylko, że ulepszenia wprowadzone do dawniejszego mechanizmu dowodzą, iż doskonalenie czyni wielkie postępy i że jesteśmy na drodze do odkrycia ostatecznego już wyrazu doskonałości w tym najbardziej zadziwiającym ze wszystkich wynalazków.

Zanim Edison przybędzie osobiście na wystawę paryżką, tymczasem jego przyjaciel pułkownik Gouraud zaproszony został przez prezydenta Akademii Nauk w Paryżu do głosu i do wprawienia nowego przyrządu w ruch. Na to wezwanie p. Gouraud wygłosił, a jego fonograf zapisał, następujące słowa:

„Pierwszym moim obowiązkiem, Mości Prezesie, jest podziękować za zaszczyt, jaki mi raczyłeś uczynić, dozwalając przedstawić po raz pierwszy we Francji Akademii Nauk ostatni utwór geniusza mego przyjaciela i rodaka Edisona, oraz podziękować za łaskawe przyjęcie, jakiego doznaję w tej chwili, i za zaszczyt, jaki mi przynosi, panowie, wasza obecność.”

Przyrząd, to jest fonograf, powtórzył natychmiast i dość wyraźnie i czysto, tę mowę, a nawet i akcent angielski pułkownika. Lecz, jeśli się słucha zapomocą trąbki blaszanej głos staje się jakby głosem innego człowieka, mówiącego przez nos, czemś w rodzaju sławnego *pulcinella*. Przeciwnie dźwięki stają się naturalnem i wiernem odbiciem głosu, jeśli się używa do słuchania rury kauczukowej. Można powtarzać doświadczenie tyle razy, ile się spodoba.

Przyrząd używany w małej odległości działa zapomocą rury kauczukowej; na odległości wielkiej komunikacja odbywa się zapomocą elektryczności, to jest, że liny elektryczne stają się czynnikiem telefonowym. Tym sposobem pułkownik Gouraud i Edison korrespondują ze sobą z Londynu do New-Yorku. Po rozmaitych doświadczeniach p. Gouraud odczytał akademii zdanie sprawy o całym przebiegu tego zadziwiającego wynalazku.

Znowu muszę się wstrzymać od zamieszczania tej przemowy *in extenso*, a żałuję bardzo, bo wszelkie wyjaśnienia zostałyby w ten sposób złożone przed oczy moich czytelników. Powiedzmy tylko, że p. Gouraud jest prawdziwym *wynalazcą wynalazcy*. Przed laty dwudziestu, jak sam mówił, spotkał on Edisona młodym chłopakiem, pełniącym rozmaite obowiązki i szukającym drogi w życiu. P. Gouraud, uderzony wielką inteligencją chłopca, zajął się nim i dał mu środki do nauki, do rozwinięcia znakomitych zdolności. „Ta okoliczność tłómaczy—powiada pułkownik—fakt, iż i dziś mam zaszczyt przedstawić akademii jego wynalazek. Ojciec mój miał to szczęście, że uznał, zachęcił i rozpowszechnił pierwsze odkrycie Daguerre'a; ja mam zaszczyt i przyjemność, wygłosić dziś pochwałę *fotografii głosu ludzkiego*.”

„U siebie, w Anglii, słyzałem głos Edisona mówiącego w Ameryce, słyzałem głos jego z całym brzmieniem; słyzałem odgłosy, jakie wywoływał ruch jego przy pracy w zakładzie.”

„P. Janssen, członek Akademii Nauk, znakomity astronom, jest pierwszym, który przemówił do przyrządu po francuzku.

„Dodać tu muszę, że Fonograf połączony z telefonem dozwolił usłyszeć w Filadelfii muzykę wykonaną w New-Yorku; przestrzeń 140 kilometrów dzieli te dwa miasta.”

Huczne oklaski akademików i publiczności wyrażają zapał, z jakim przyjęto sprawozdanie pułkownika Gouraud'a.

Następnie przyrząd znajdujący się w sali posiedzeń wprowadzono w działanie. Kazano mu powtórzyć kilka razy śpiew Marsylianeki, odśpiewany u p. Berger'a, hymn narodowy angielski *God save the Queen*, potem jakąś pieśń amerykańską i t. d. i t. d. Fonograf spełnił wszystko co do słowa, dokładnie, z matematyczną ścisłością. Jedno tylko, co do życzenia pozostaje: oto pozbycie się tej kauczukowej rury, którą potrzeba przykładzać do ucha. Gdy przyjdzie do tego, że fonograf będzie mówił wprost bez żadnej pośredniej pomocy, wówczas zwycięstwo będzie zupełne.

Nakoniec p. Janssen, wezwany do głosu, przemówił do fonografu w następujących słowach:

„Zadanie sztucznego naśladowania głosu ludzkiego jest jednym z najdziwniejszych zadań, jakie mogła sobie postawić do rozwiązania inteligencja ludzka. Geniusz Edisona daje nam dzisiaj rozwiązanie tego zagadnienia i imię jego będą błogosławili ci, którym wynalazek jego pozwoli usłyszeć głos ukochanych zmarłych.”

Następnie tegoroczny prezes akademii, p. Descloizeaux, tak przemówił:

„Prezes Akademii Nauk dziękuje serdecznie pułkownikowi Gouraud za jego sprawozdanie wielce zajmujące i łączy się ze wszystkimi tu przytomnymi osobami, prosząc go, aby raczył podziękować p. Edisonowi, którego Francja ma nadzieję oglądać wkrótce u siebie i na swej wystawie.”

Na tem skończyło się posiedzenie.

(Dokończenie nastąpi).

JAN ROWLAND STANLEY.

(Dokończenie).

Czarni żeglarze dostrzegli również białego podróżnika i natychmiast odezwały się dzikie krzyki, wraz z chrapliwymi dźwiękami trąb i ze wszystkich stron, ze wszystkich zatok rzeki zaczęły się okazywać łodzie, niewidzianej dotąd u Murzynów wielkości; wszystkie szybko kierowały się w stronę ujrzanego podróżnika, a wrzask, którym rozlegały się wody rzeki i jej nadbrzeża, ogłuszał. Stanley nie stracił przytomności i teraz cała jego flotylla musiała połączyć się, działając skombinowanymi siłami. *Lady Alicya*, której dowództwo objął Stanley, wysunęła się naprzód o pięćdziesiąt metrów przed innymi statkami. Frank Pocock na wielkiej łodzi, zwanej *Ocean*, zajął stanowisko po jego prawej stronie, z lewej umieściła się podobnie druga, równie wielka łódź: *Londyn*, niosąca najdzielniejszych ludzi; w środku dwadzieścia łodzi, także gotowych do walki, a tu kobiety i dzieci trzymały ogromne puklerze drewniane, rzec można: ściany, odbijające pociski strzał nieprzyjacielskich. Ale strona przeciwna była owiele liczniejsza. Stanley naliczył pięćdziesiąt cztery łodzie, a na ich czele jedna ogromna przedstawiała jakoby statek admirałski. Z każdego jej boku stało czterdziestu wiosłarzy, i tak, stojąc osmdziesiąt tych, jakoby hebanowych, postaci, poruszało wodę ruchem miarowym, w takt gardłowego hymnu, zapewne pieśni wojennej. U dzioba łodzi, na pewnego rodzaju platformie, stało dziesięciu wojowników, mających na głowach sterczące jakoby korony z piór papuzich, popielatych i czerwonych. Na tyle statku ośmiu sterników dawało łodzi kierunek, posługując się długimi pagajami z gałkami kości słoniowej.

W pośrodku statku dziesięciu Czarnych, zapewne naczelników, wykonywało pantominę rycerskiego tańca. Na ramionach błyszczały bransolety z kości słoniowej, na głowie korony z piór. Od przodu statku spadała jakoby frendzla z włókien jakiejś rośliny opadająca aż na wodę.

Był to widok niedający się porównać z niczem znanym i w swoim rodzaju wspaniałym niezmiernie. A gdy się doda do tego huk kilkudziesięciu olbrzymich tarabanów i odgłos przeszło stu trąb z kości słoniowej, śpiew i wrzaski, wycia najmniej dwóch tysięcy ludzi—można pojąć jakie wrażenie wywierało to wszystko. Stanley nie stracił zimnej krwi. Dał rozkaz, aby się zachować spokojnie, aż do chwili zaczepki ze strony dzikich. Potem kazał dać ognia, ale nie pośpiesznie: celować dobrze i strzelać pojedynczo. Cofnięcie się, ucieczka była niemożliwą, jak im wytłómaczył, ocalenie zawierało się całkowicie w celności strzałów.

Ledwo zdołał rzucić po za siebie tę komendę, wielka łódź cisnęła się tak ku szalupie Stanleya, jakgdyby chciała ją wziąć szturmem, ale na pięćdziesiąt metrów odległości zwróciła się nagle bokiem, a przy tem manewrze wojownicy wyrzucili na statek europejski grad pocisków. Odpowiedziano wystrzałami, ale łódź po wyrzuceniu strzał cofnęła się w tył gwałtownie, wiosłarze zaś pokładli się na pokładzie, aby nie przedstawiać

celu dla kul. Stanley w uniesieniu kazał gonić statek Czarnych, który, dostawszy się poza pagórek, wpłynął w zatokę. Czarni wylądowali, ale i on uczynił to samo i wtedy nastąpiła walka mordercza już wśród wsi murzyńskiej, między jej opłotkami, co wielce utrudniało zwycięstwo Białych. Murzyni odważnie wytrzymywali kule, które były im celnie przesyłane; w miejsce jednego, który padł zabity, tłoczył się tłum roznamiętnionych śmiercią towarzysza. Stanley mimo to wyparł ich z zasieków między budynkami, zapędził w głąb lasu i dopiero wtedy wrócono nad rzekę i zawrócono w tył, na wody Kongo.

Dalsza żegluga w dół tej rzeki była dziko ponurą, bo dniem i nocą odzywały się z obu jej brzegów wojenne hasła dzikich; bicie w bębny i chrapliwe głosy trąb, które nawoływano się wśród zarośli, świadczyły, że ludność nadbrzeżna zbiega się i gromadzi w hufce wojownicze. Trzeba też było czuwać bezustannie, być wciąż gotowym do walki, i Stanley porównywał się tu w pamiętnikach swoich z jeleniem, który, wielokrotnie stawiając czoło psom gończym i odparłszy zażartych potężnymi swymi rogami, czuje w końcu, że siły zaczynają go odstępować — że wkrótce może paść i zostać rozszarpanym na kawały.

W orszaku jego nie było już trzydziestu takich ludzi, którzyby nie otrzymali jakiegokolwiek rany i mogli nazwać się zupełnie zdrowymi.

Wrocie utarczki nie ustawały. Trzydzieści już ich stoczył, aż nagle trzydziesta pierwsza stała się dlań objawieniem nagłym niezmiernie ważnej rzeczy. Po raz pierwszy spotkał dzikich uzbrojonych w strzelby; nie strzelali z nich kulami, lecz siekającymi z ołowiu, niemniej posiadano broń palną i choć było to zdwojone niebezpieczeństwem w walkach z nimi, przecież kazało przypuszczać, że znajdowano się niedaleko od miejsc, gdzie były faktorye europejskie.

W okolicach takich walki Murzyna z Białym zwykle ustają. Raz jeszcze przebyto krwawe starcie, ale ta trzydziesta druga bitwa z Bangalasami była ostatnią. Szalupa z całą flotyllą łodzi wpłynęła na ogromną przestrzeń wód, rozlanych szeroko i tworzących ogromne, trzydzieści mil kwadratowych mające jezioro, które następnie otrzymało od geografów nazwę: „Stanley Pool” (Staw Stanleya). Teraz już ta ojczyzna czarnego człowieka, której środkiem się przernięto na falach największej rzeki afrykańskiej, przestawała być straszną krainą dzikich walk z tuziemcem srogim i krwi chciwym, jak hyeny i tygrysy tych okolic. Handel prowadzony z faktoryami działa zwykle na Murzynów łagodząco. Nie ciskają się już wtedy na każdego Białego, z zaciętością zwierza, którego knieje ktoś najdzie. Ale jeżeli z jednej strony niebezpieczeństwo usuwało się szczęśliwie, występowało zaraz z drugiej. W miejsce człowieka natura afrykańska stawiała do boju. Poczynając od jeziora Stanley Pool, rzeka zmienia nagle charakter. Nie jest to już „strumień wody majestatycznie wspinały i przez spokojność swych fal niemal mistycznej piękności”, który na przestrzeni 1.450 kilometrów przedstawia, jakby jedno srebrno-błękitne zwierciadło niezmarzzonej powierzchni i zład wywiera na podróżników wrażenie łagodnie uspakajające, którego nie mógł miejscem tym odebrać nawet ludożerca, zamieszkujący odwieczne jego bory. Tu wracaly znowu okropności katarakt: piekło wodne. Rzeka stawała się dziką, szalała siłą, płynąc łożyskiem, które ryła sobie głęboko w łonie kamienia, a które zawałowały, zwały wysoki skaliste, ławice głazów erratycznych. Walczyła z nimi spieniona, przebywając kręte wąwozy, pnąc się spiętrzoną falą pod górę wałów granitowych i spadając z nich w dół, gwałtownie. Po skończonych zapasach z dzikim człowiekiem wracaly znowu zapasy z rzeką, która, złościąc sobie głęboką, szeroką bruzdę wskroś wysokich płaskowzgórzy tej strony Afryki, spieszyła do Atlantyku spieniona, dysząca.

Ta część rzeki przedstawia się oczom przerażającym. „Wyobraźcie sobie odnogę morską cztery mile geograficznie długą, pół mili szeroką, której fale siecze niestający huragan, a będziecie mieć dopiero wyobrażenie o ogromnych falach Kongo, przy jej tu ujściu” — pisze Stanley. I tu musiało się powtórzyć przenoszenie statków lądem; wpraw-

dzie nie było już lasów rojących się od ludożerców, ale były góry, na które trzeba się było piąć z ciężarem ogromnym i spuszczać znowu w dół po pochyłościach, przerażająco stromych.

Tu zginął też ostatni europejski towarzysz Stanleya, Frank Pocock. Chciał on, mimo oporu Stanleya, przebyć łodzią jeden z dzikich spadków rzeki, spadek Massassa i strącony ze statku w wodę, utonął, mimo, że czarni jego towarzysze, ulegli temusamemu losowi, chcieli go ratować z poświęceniem.

W kilka dni potem Stanley, znużony ciągłą walką z rzeką, postanowił resztę drogi do morza przebyć już całkowicie lądem, bo też stanął już u celu: zdeterminowanie biegu Kongo było dokonane. Dnia 31 Lipca o zachodzie słońca ogłoszono szalupę i łodzię ze wszystkich zapasów i u katarakty Issannglula *Lady Alicya* została puszczone samotnie bez majtków i sternika na łaskę i niełaskę fal.

Stanley spotkał się jeszcze z jednym nieznanym dotąd i najstraszniejszym wrogiem podróżników. Był nim głód. Przebywano kraj bardzo ubogi i zgoła nie uprawiony; krajowcy nie chcieli nic sprzedać za zamianę żadną. Żądali tylko rumu, którego karawana nie posiadała już ani kropli, i Stanley ujrzał z przerażeniem u końca drogi najcięższego nieprzyjaciela nieubłaganie stojącego między nim a tryumfem dokonanego dzieła. Rozpacz go ogarnęła, bo czekała go tortura najcięższej śmierci: śmierci głodowej, a w dodatku czyż-to nie on doprowadził do tak okrutnego końca tę wierną, przywiązaną garstkę czarnych biedaków, która ufała mu bez granic i była dlań zawsze bez granic wierną? Położenie było przecież bez wyjścia, jak loch, którego otwór zostałby zasypany przez trzęsienie ziemi.

Trzeba było przedsięwziąć coś... cośkolwiek. Stanley napisał trzy listy: w angielskim, francuskim i niemieckim języku, trzy wezwania błagalne, zwrócone do każdego Europejczyka, który je pierwszy do rąk dostanie, aby dał pomoc miłosierną jemu i jego biednej rzeszy czarnej. Trzech najinteligentniejszych, najwierniejszych swych sług czarnych rozesłał z temi listami na trzy strony świata, a sam z pozostałymi okopał się w obozie, gdzie mógł kiedyś podróżnik jako znaleźć kości ich, wybielone słońcem afrykańskim.

Kilka nędznych krzaków akacji wnosilo tu trochę zieloności i ludzie pokładli się na nagiej ziemi bezsilni, lecz nikt nie skarżył się, nie jęczał nawet wśród rozpoczynających się już tortur głodu. Chyba dziecko jakie, niemowlę, płakało, nie znajdując pokarmu w wyschłej piersi matczynej. I dni tak upływały; dzielono się coraz mizerniejszymi okruchami resztek dawnej obfitości, aż oto wysłańcy wrócili porankiem jednego dnia, który byłby może widział rozpoczynające się konanie nieszczęśliwych.

Wrócili obładowani żywnością, przynosili rzeczy posilne, przysmaki nawet. W Boma znaleźli Europejczyków i ci pośpieszyli im z nieskapą pomocą, lecz nowina, która razem z tem doszła do obozu, była też ceny ogromnej: znajdowano się tylko 4 cztery dni drogi od Oceanu.

Dnia 9 Sierpnia 1877 r., w dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć dni po wyruszeniu karawany w Zanzibar, dostano się do Boma, gdzie spotkano pierwsze faktorye europejskie. D. 11 Sierpnia ujrano wielkie wrota swobody, jak zawołał na ten widok Stanley — ujrano błękitne przestwory Oceanu. Stanley dokonał wielkiego dzieła — największe geograficzne zagadnienie XIX wieku zostało rozwiązane: bieg rzeki Kongo, wielkiej arterii afrykańskiego lądu, został oznaczony na mapie świata.

Ale za jaką cenę? Opuszczając Zanzibar karawana liczyła czterech Europejczyków i 370 Murzynów, teraz było sto dziewięć osób, a wśród tych jeden tylko Biały, który to wszystko wytrzymał — Stanley!

Zanim przecież odpoczął po trudach, zanim zaczął używać słodkich owoców zdobytej chwały, chciał spełnić obowiązek, który uważał za święty, a to, aby nie puścić na wolę wypadków ucziwej garstki ludzi, którzy byli mu wierną pomocą w wypełnieniu wiekopomnego dzieła. Zaprzagnął odwieść ich sam do ojczyzny, i tak uczynił: wsiadł

z nimi na parowiec angielski, opłynął Przylądek Dobrej Nadziei, gdzie ich przyjmowano z zapalem, wyprawiano im uczyty i owacy, aż wreszcie znalazł się w Zanzibarze i oddał ziemi rodzinnej współpracowników swoich, którzy żegnali go ze łzami i błogosławili na dalsze losy życia.

A on sam co pocznie ze sobą? Teraz mógł już być syt ruchu i czynu, a razem sławy i rozgłosu, bo już dzienniki angielskie rozniosły po świecie wiadomość o jego odkryciach — zdobyczach, czynionych dla cywilizacji: gdzie zatem zwróci się teraz i w jaki sposób odpocznie na zapracowanych ciężko laurach?

Człowiek ten ma w piersiach dobre, kochające serce i najpierw też pojechał do starej matki. Wioska walijska była pierwszym miejscem w Europie, gdzie położył się spać spokojnie, bez myśli stroskanej: co mu jutro czynić trzeba? Tu odpoczywał pod dachem wiejskiego dworku, u serca matki, która tak długo tęskniła za dzieckiem swem jedynym, bo od królowej do pastuski, syn jest przedewszystkiem dla kobiety każdej jej dzieckiem i jako do dziecka swego rości ona sobie prawo: tęskniąc, kochając, modląc się za niego; lecz ta matka zabolęła, westchnęła ciężko. Trzy lata temu odjeżdżał od niej piękny młodzieniec, dumny ze swojej męskiej siły i kwitnącej świeżości życia, a teraz wrócił do niej człowiek na wpół siwy, wychudły, z przeciągniętymi rysami twarzy, zgarbienny od ciężaru trosk i niepokojów, które przywykł dźwigać na sobie. Serce jej uderzyło boleśnie, myślała biedna, że teraz już zostanie przy niej, dość już mając pracy i zebranych jej owoców, ale omyliła się nieboga. Stanley odjechał wkrótce matkę; pojechał do Bruxelli, dokąd wzywał go Król Belgijski na prezydenta związkowych działań w Afryce i gdzie w naradach razem podjętych nakreślono pierwszy plan trzeciej seryi jego prac w Afryce, oraz założenie Wolnego Państwa Kongo.

Międzynarodowe stowarzyszenie afrykańskie istniało od 1877 r.; założone wtedy jeszcze, gdy Stanley przebywał w Afryce, a Kongo było dla geografów czemś, jakby mitem, błyskającym w obsłonie cieniów — mirażem pustyni. Cameron był jedynym podróżnikiem, który przebył częściowo Afrykę i Towarzystwo przyjęło też dla działań swoich plan jego, co spowodowało tyle wydatku sił i grosza zmarnowanego na wschodnich pobrzeżach Afryki. Gdy przecież Stanley objawił światu istnienie już niewątpliwe olbrzymiej rzeki, przecinającej Afrykę Zwrotnikową w jej całej szerokości, spostrzeżono zaraz w Bruxelli ważność tego odkrycia i Stanley stał się teraz prawą ręką króla Leopolda.

Po raz trzeci wrócił on do Afryki, teraz mianowany przez króla Belgów *Generalnym agentem komitetu studyów nad górnem Kongo*, z misją zakładania nad tą rzeką stacyi, nabywania terytoriów, zawierania układów z krajowcami. Było to, jednym słowem, dzieło cichego, spokojnego i poniekąd w tajemnicy spełnianego zawładnięcia wielkich obszarów tego afrykańskiego gruntu, nad którym ustalono w ten sposób panowanie Belgii. Zasłonięto ten zamiar maską przedsięwzięcia naukowo-handlowego, aby nie rozbudzać zazdrości państw innych i nie wywoływać współzawodnictwa; Stanley stanął przecież na stanowisku jakoby vice-króla wielkiego afrykańskiego państwa przyszłości; jego życie i podróże weszły już teraz w fazę inną, nową, tworzącą inny, nowy obraz, z oddzielnym i własnym swym całokształtem.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Gramatyka polska w ćwiczeniach, przez Wiktorynę Korwinównę. Kijów i Odessa. Nakładem księgarni Bolesława Koreywy. 1889 m. 8-a str. 200. Cena kop. 60.

Z przyjemnością zapisujemy tutaj nowy objaw rozbudzonego w ostatnich czasach ruchu na niwie

doniedawna niedość jeszcze skrętnie, w porównaniu z istotnymi a pilnymi potrzebami uprawianej; bez zapowiedzi, bez szumnych reklam w nadwornych czasopiśmie wydawców, ukazała się na półce księgarskiej, zdala od głównych ognisk naszego życia piśmienniczego wydana, książka poświęcona nauce języka ojczystego. Nazwiska jej autorki nie zapisała podobno dotąd bibliografia; jak jednak sama praca świadczy, należeć ono musi do osoby, która nawykła do ciężkiego pługa nauczycielskiego, albo przynajmniej brak długoletniego doświadczenia wynagradzać umięciem umiłowanie przedmiotu.

Książka panny K. składa się z licznego szeregu (418) ćwiczeń, obejmujących cały zakres gramatyki: naukę o częściach mowy i odmianach, krótką głosownią w zastosowaniu do pisowni, właściwą etymologią i składnią, z wyjątkiem okresów. Szczegółowy tej treści wykaz przedstawia się jak następuje: Nauce o częściach zdania nierozwiniętego i rozwiniętego (poprzedzającej, jak i w innych nowszych podręcznikach, wszystkie działy gramatyki) poświęcono ćwiczeń 26; rozgatunkowaniu wyrazów na części mowy — ćw. 25; pisowni — a raczej ważniejszym zasadom głosowni i ich zastosowaniu do pisowni — ćw. 8, w której-to liczbie mieści się 7 wzorów dyktanda. Następuje potem szczegółowy wykład nauki odmian, a mianowicie: o rzeczownikach — ćwiczeń 44, o przymiotnikach — 17, liczebnikach — 7, zaimkach — 25, o słowie w ćw. 41, o częściach mowy nieodmiennych — 14; następnie idzie rzecz o „pochodzeniu“, czyli raczej tworzeniu wyrazów, łącznie z wiadomościami o wyrazach cudzoziemskich, w 37 ćwiczeniach; w dalszych ćwiczeniach wyłożono naukę składni, a mianowicie: obszerniej, niż w części pierwszej, o składowności częściach zdania — ćw. 60, o rodzajach zdań — ćw. 19, wreszcie o zdaniu złożonym — ćw. 31, o skracaniu zdań podrzędnych — ćw. 7, o zdaniu ściągniętym — ćw. 2 i o zdaniach współrzędnych — ćw. 37; zamykają zaś poczet ćwiczeń uwagi o znakach przestankowych i przykłady ogólnego rozbioru składniowego, oraz zasady składni szyku. Większa część ćwiczeń, o których tu mowa, ma na względzie wyłącznie naukę gramatyki; gdzie indziej tylko znajdujemy ćwiczenia, w których praktyczny wykład zasad gramatycznych łączy się z zadaniem szerszej natury, bo z opracowaniem treści w obrębie danego tematu. Mamy tu mianowicie pewną liczbę opowiadań, przeznaczonych do rozszerzenia (nr. 309 — 313, 323, 324), kilka dyspozycji do ułożenia także opowiadań (nr. 314 — 318), parę opisów (nr. 319 — 322) i nieco listów (nr. 329 — 333).

Jak widać z przytoczonego powyżej przeglądu treści, praca panny K. odpowiada zawartością znanej powszechnie „Stylistyce“ Augusta Jeskego i jej uzupełnieniu w pewnym dziale, wydanemu przez cenionego pedagoga H. Wernica („Składnia“ 1881; wydanie księgarni Stan. Arcta), tudzież części praktycznej wydanego niedawno po raz trzeci dziełka Piotra Skrzypińskiego „Mownictwo Polskie z zastosowaniami we wszystkich swych częściach.“ Od pracy Jeskego różni się ona większą obfitością ćwiczeń we wszystkich działach właściwie gramatycznych, a zwłaszcza znaczniejszym opracowaniem składni (więcej niż połowa całej książki); nie zawiera natomiast takiej ilości materiału do „wypracowań“ piśmiennych, jaką spotykamy u Jeskego, który sobie zakreślił owiele rozleglejsze granice. Pożyteczna książeczka H. Wernica poświęcona jest — jak wiadomo — tylko nauce zdania prostego i ściągniętego. Co się zaś tyczy Skrzypińskiego, to jego dziełko, mające na celu przedewszystkiem wyczerpujący wykład teoretyczny, temsamem musi ustępować pod względem ilości ćwiczeń praktycznych książce przez nas rozpatrywanej, która właśnie tę drugą stronę nauki języka przeważnie wzięła sobie za zadanie; przeważnie — lecz nie wyłącznie, znajdujemy bowiem w odpowiednich miejscach przed ćwiczeniami i uwagi teoretyczne. Nie powiem, żeby stanowiły one ważną zaletę i ozdobę książki: są często zbyt dorywcze, luźne i bezwarunkowo nie wyczerpują przedmiotu: nie myślę wszakże z tego czynić zarzutu zasadnicze-

go, uważając główne zadanie za względnie dobrze dokonane. Bynajmniej przez to, z drugiej strony, nie chcę przypuszczać, żeby autorka żywiła wrogię względem teorii usposobienie i mieniła ją rzeczą zupełnie podrzędną; boć chyła o to nikt poważnie spierać się nie będzie, że analiza z syntezą to rzeczy nierozdzielne, niby dwa bieguny w objawach jednej siły. Autorka chciała dać do rąk mniej od siebie doświadczonych podręcznik do nauki poglądowej języka: to wystarczy, że zaś ktoś niedouczony, czy uprzedzony zechce poprzestać na takiej metodzie w pierwszym stadium jej zastosowania i uważać za sam cel środki, do niego wiodące, tego samemu podręcznikowi nie wolno będzie poczytywać za winę. Swoją jednak drogą godzi się tu zaraz zrobić uwagę, że metoda przyjęta w podręczniku Jeskego, a zasadzająca się na równoległości ćwiczeń praktycznych ze ściśle sformułowanymi podstawami teoretycznymi, metoda, wprowadzona także u Skrzypińskiego, dla dopieroco wyłuszczonej przyczyny zawsze mieć musi przewagę nad wszelkim systematem połowicznym. Z systematów takich, jak wiadomo, szczególniejszymi względami (zwłaszcza płci pięknej) cieszy się stary, lecz mimo to wcale nie chwalebny, system alwarowski bezmyślnego uczenia na pamięć zasad gramatycznych. Książka panny K., narówni z powyżej wymienionymi, jest jego otwartą i rozumną niepryjaciółką, ma więc prawo do tego, ażeby ją nazwać pracą pożyteczną i godną zalecenia. Należy jej się słowo uznania tem słuszniej, że, jakeśmy to już wykazali, przewyższa ona zestawione z nią podręczniki większą pełnością opracowania w niektórych działach. Do takich zaliczyć trzeba bezwarunkowo dział o zdaniu złożonym i o zdaniach współrzędnych. Są to rzeczy nader często w wykładzie gramatyki pomocozemu traktowane; chociaż nauka o nich właśnie w wysokim stopniu rozwija umysł, jako związana z logiką, i więcej od różnych innych zasad składni przyczynia się do wyrobienia stylu.

Powtarzamy: dziełku panny K. serdecznie życzyć należy walnego zwycięstwa w wojnie z takimi płodami bezmyślnej rutyny, do jakich np. liczy się, tak, niestety, podobno rozpowszechniona gramatyka Maleczyńskiej, lub inne podobne wydania spekulacyjne, silne bronią tanioci.

Wypada nam jeszcze słów kilka powiedzieć o wyborze materiału, z którego zbudowane są ćwiczenia. Pominąwszy nieliczne wyjątki, widzimy, że składają się one z szeregów zdań luźnych, niezwiązanych wspólnością przedmiotu, niestanowiących przeto całości literackiej; w jednym numerze mówi się naprzykład o Morzu Śródziemnym, o Ławicy Nowofundlandzkiej, o Wielkiej Brytanii i Japonii, o nymfach, faunach i rusalkach, o zającu i wiewiórce, o papierze i kocie i t. d. Autorka nie poszła więc śladem niektórych postępów kolegów, którzy przestrzegają zasady, ażeby każde ćwiczenie poświęcone danemu prawidłu gramatycznemu było zarazem samo w sobie całością, zaokrąglonym utworem piśmiennym. Postąpiła jednak, według mego przekonania, niezupełnie fałszywie, może pamiętając owo przysłowie porównanie „lepszego“ z „dobrem“. Nie pamiętają o niem niekiedy zwolennicy zaznaczonej metody i, powiedzmy otwarcie, wpadają często w przesadę: sami tworzą, niby na zamówienie terminowe pewnych prawideł gramatycznych, pseudo-kompozycje literackie, odstręczają umysł dzieci przeraźliwie nudną jednostajnością i pracowicie wymuszonymi postaciami stylowymi, jakby prosto z izby tortur wazylami; od dzieci zaś wymagają równoczesnego zajmowania się rzeczami zupełnie odrębnymi, bo treścią utworu i formami gramatycznymi; kiedy tymczasem już zajęcie się jedną z tych rzeczy pociąga za sobą znaczne natężenie umysłu dziecięcego. Wzbogaca się on może w jednym kierunku przez rozważanie i zapamiętanie treści takiego ćwiczenia; ale wówczas styl, język i jego budowa — słowem: to, co miało być głównym celem wykładu, z konieczności zajmie bardzo podrzędne miejsce. Przykładów podobnego spaczenia dobrych, a raczej zbyt dobrych, chęci możnaby wskazać sporą liczbę; choć z drugiej strony łatwo się na to zgodzić, że w niektórych wyjątkowych wypadkach metoda, o której mowa, znajduje traf-

ne zastosowanie. Stosowała ją też niekiedy i panna K. (np. ćw. 117; 309 — 313; 323, 324 i in.), podając gotowe wzory, lub też odsyłając po nie do jakichkolwiek wypisów. Przeciwno temu ostatniemu sposobowi dałoby się nieco powiedzieć. Zalecić przeróbkę pod pewnym względem „danego ustępu“ lub „danego kawałka“, (np. ćw. 5, 7, 8, 11, 12, 24, 38 i t. d.), bardzo łatwo; ale wyszukanie zupełnie właściwego miejsca nie zawsze jest rzeczą łatwą dla mniej doświadczonych; zabiera nieraz dużo czasu i nastęrcza często poważne trudności do pokonania. Tyczy się to zwłaszcza takich zadań składniowych, jak w ćw. 5, 7, 8, 11, 12. Byłoby więc stosowniejszem, gdyby sama autorka zadała sobie była jeszcze nieco pracy i w tym razie.

(Dokończenie nastąpi).

Wycieczka w krainę młodości

przez

ŚWIĘTOPEŁKA CZECHA.

Przełożył z czeskiego Z. P.

(Dokończenie.)

W podobny sposób prawil dalej gadatliwy nauczyciel, a gość mógł tymczasem rozejrzeć się po pokoju. Wyglądał on prawie zupełnie tak samo, jak za lat dawnych. Była tu dotąd wysoka szafa z dziwacznym stojącym zegarem pod szklanym kloszem; na ścianach wisiały dobrze mu znane ze starości poźółkle obrazy; mimo nowego pokrycia poznał starą kanapkę, na której tak często siadywał; fortepian stoi, jak wówczas, w rogu przy oknie. Każdy tu przedmiot dokoła opowiada mu tyle miłych rzeczy. A ta skarbница drogich wspomnień młodości przesycona jest świeżym tchnieniem wiosny. Okna otwarte; z ogródka leją się przez nie do pokoju wonie kwiatów. Na jednym siedzi motyl, składając i rozkładając modre skrzydełka. Błyszcząca jakaś muszka porbrękuje dokoła świeżo narwanego kwiecia, którem dziewczęta ozdobiły swe włosy....

— Proszę pana, niech pan będzie łaskaw — Uprzejme to zaproszenie, srebrzystym wymówione głosikiem, wyrwało go nagle z tych myśli. Przed nim stała Julia, tak, jak ongi często stawała, Julia, powrócona mu w córce jej, trzymając w delikatnych rączkach znaną mu dobrze, w jasno-zielone winogrona i ciemno-błękitne śliwki, pomalowaną tacę, a na niej również znaną szklanekę, ozdobioną u brzegów złotymi liśmi winogrodu. W szklance perlił się jasny płyn topazowego blasku.

Przyjął wino z podziękowaniem. Nie było to wino; był to czarodziejski, odmładzający ów napój, za którym tyłu już uganiało się szaleńców, a którego źródło cudowne bije dotąd jedynie w nadpowietrznym państwie baśni i gadek.

Zdało mu się, że napój ten wlewa mu w ciało ogień młodzieńczy, że serce za każdym haustem lżej mu w piersiach bije, że z oblicza znika cień za cieniem, zmarszczka za zmarszczką, że w głębi serca budzą mu się znów słodkie, marzące uczucia, a w głębiach myśli — różane nadzieje. Spoglądając z boku na delikatną rączkę Julci, spoczywającą przyjacielsko na ramieniu jego sąsiadki, przypomniał sobie pocałunek, który niegdyś szybko, potajemnie wycisnął był na rękę dawnej Julii. Był to najśmielszy czyn, do jakiego wówczas popełniła go jego nieśmiała, trwożliwa, a przecież tak szczęśliwa, miłość. Miłość ta wkra-da się dzisiaj znowu w jego piersi i tęskna w nich budzi westchnienia.

Nauczyciel siadł do fortepianu. Pierwsze dźwięki przegrzywki spłoszyły powściągliwość, która dotąd przykuwała towarzystwo do stołu. Pokój ożywił się gwarem, śmiechem, szelestem sukien-

nek i niecierpliwem przytupywaniem chciwych tańca nówek. W mgnieniu oka pary stanęły w szyku bojowym.

Stary sam sobie się dziwił, jak sprężysty i lekki był jego krok. Unosił się, jak motyl nieledwie. Tańczył z ogniem młodzieńczym, nie szczędząc piruetów i innych ozdób sztuki tanecznej, bez których obejść się nie mógł kadryl za jego lat młodych.

Julcia mogła być ze swego tancerza zupełnie zadowolona. Bawił ją przytem gorliwie, ale bynajmniej nie oklepaniem słodkimi słówkami, które ze swej wartości wewnętrznej podobne są do owych wierszyków na karmelkach. Mówił do niej z niewymuszonym humorem—i z nieśmiałej dziewczeczki wyklął się wkrótce miluchny dyabełek, ruchliwy, figlarny, dzwoniący srebrnymi brząkałkami rozkosznych śmieszek, jednym słowem: Juleczka jegolat młodych stała przed nim w całej pełni wesolutkiego wdzięku swego. Ale niegdyś marzący młodzian teraz odpowiadał na jej żarty westchnieniami, na filuterne uśmieszki, smętnymi spojrzeniami. Mężczyzna dojrzały chwytła dziś z upragnieniem te wiosenne promienie wesołej duszy dziewczęcej; on wie, że szaleńcem jest każdy, kto nie przyjmuje z podziękowaniem każdego z tych blasków, któremi niebo rozjaśnia na chwilę pośpyzny zmrok życia.

Gdyby tak mógł złotym deszczem podobnych promyków rozpędzić chmurną nudę i powszedniość swych chwil codziennych! Ze strachem o nich teraz wspomina. Widzi w duchu skromny pokój, gdzie z każdego kąta wygląda nań wstrętne nuda, widzi ludzi ziewających w przeciwniejszych oknach, widzi pomarszczoną gniewną twarz gospodyni i słyszy nieprzyjemne jej mruczenie—o, gdybyż tak zamiast niego odzywał się srebrny dzwonek tego ot śmiechu! Odżyłby nanowo. Dom stałby się dlań zieloną oazą wiecznej wiosny, dokąd śpieszyłby po ochłodę i orzeźwienie z pustyni pyłu kancelaryjnego, w którym musi trawić większą dnia połowę, wśród suchych akt i suchszych jeszcze kolegów. Kupił sobie raz śpiewaka leśnego, aby przynajmniej trochę rozpędzić nudę i powszedniość swego mieszkania, ale gdy zajrzał do klatki i spostrzegł, jak ptaszyna na przeciku smutnie opuszcza skrzydełka i tęsknie, jakby z wyrzutem w czarnem oczku, spogląda na tego, który ją więzi, otworzył narozcież klatkę i okno i zawołał za ulatującym śpiewakiem: „Żegnaj, poezyo!”

„Ale nie byłoby równym grzechem przenieść tego pięknego dyabełka do dusznego pokoju starego tetryka? Zresztą, złapże tu takie ptaszę! A jednak, gdyby dało się złapać? Gdyby chętnie spoczęło na mojej pierś! Słyszałem o niejednym człowieku w moich latach, który żyje zupełnie szczęśliwie z niestarszą od tej dziewczeczki małżonką. Komużby to szkodziło, gdyby rozjaśniła uśmiechem swym lato i jesień życiową męża, któryby kochał ją szczerze i, któryby, mając przyzwoite dochody, mógł otoczyć ją w miarę tysiącami wygodami i przyjemnościami, o jakich nie śniłoby jej się na wsi, przy boku Bóg wie kogo, choćby tego tam pomocnika nauczyciela, *nota bene*, dopiero, gdy ten zostanie nauczycielem... dopiero!

„Zdaje się, że wiejski ten wyglądacz mowy macierzystej jest o mnie trochę zazdrosny. Ściga mnie spojrzeniami bynajmniej nie życzliwymi, jak bym był uosobioną omyłką gramatyczną. Zapewne bywa zazwyczaj tancerzem Julii i gniewa się, że teraz ja trzymam w swej dłoni jej ciepłą, elastyczną rączkę. Cóż dopiero, gdyby wiedział, że ja tę rączkę przed chwilą uściskałem, bardzo, bardzo leciutko, ale jednak ścisnąłem! Czuję ten uścisk aż w sercu! O, piękna młoda dziewczyna jest czemś w rodzaju Midasa: dotknięciem ręki rozsiewa dokoła siebie złote zorze szczęścia.“

— O, panie podnauczycielu — odezwała się Julia — ślicznieś pan nam znowu figurę poplątał. Bóg wie, gdzie pan latasz myślami!

— Niech pani wybaczy zakochanemu, panno Julio—zawołał młody leśnik.—Niejeden już z miłości tracił takt.

— Ja?—Miłość?—bełkotał podnauczyciel, któ-

rego piegowate oblicze zaczerwieniło się aż po jasne kędziory.

— Sama twarz pańska ukarała usta za kłamstwo, gdyż pan ośmielił zapierać się—zartował dalej Nemrod. — Przypomnij pan sobie tylko, jak kiedyś wyznałeś mi, żeś zakochany po uszy w... w... w... nie, nie zdradzę, w kim.

— Ja powiedziałem, że jestem w kim zakochany?—bronił się podnauczyciel. — A nadto—zakochany po uszy? Ja—bym miał użyć takiego niezgrabnego, wstrętnego germanizmu? Zakochany w kim! Po uszy! Dlaczego nie tłómaczysz pan przynajmniej wiernie z niemieckiego i nad uszy lub wyżej uszów! Czyliż nie możemy kochać równie gorąco bez tych germanizmów?

— Oto go pan masz, oto go pan masz! — zawołał od fortepianu stary nauczyciel, wskazując gościowi prazkiemu z żartobliwą chlubą swego pomocnika.—Trudno z nim kruszyć kopią!

— Śmieją się, śmieją się i my! — pomyślał stary. — Tutejsze dowcipy są, co prawda, bardzo niewinne. Zresztą; mam sto chęci skruszyć kopią z tym rycerzem smutnej postaci o atlasową rączkę tej uroczej dziewczeczki. Jedyną jego wyższością jest młodość. O urodzie nie można mówić, o dowcipie tembardziej. Stanowisko, niedozwolne przed założeniem ogniska rodzinnego, świta dopiero gdzieś w mglistej dali. A niesmaczny komizm jego postaci nie może być również powabnym dla sprytnej dziewczyny. Wyglądałoby to dość humorystycznie, gdyby w chwili upojenia miłosnego chustkę przed sobą rozpostarł, przykląkł na niej na jedno kolano i z tęsknym westchnieniem wyznał swej bogdance: „Bardzo mi się pani spodobała.“

W tańcach nastąpiła przerwa. Stary stanął z Julią przy otwartym oknie, z którego otwierał się właśnie widok na malownicze śródgórze, ciągnące się na widnokręgu, jakby skamieniała masa niebotycznych, różnokształtnych, ciemnomodrych fal. A bliżej, na pierwszym planie, odznaczał się swemi nieregularnymi konturami romantyczny, pośpyzny Zajaców, jakby go ręka malarza jednym śmiałym pociągnięciem narzuciła na tło błękitów.

Teraz spoglądał stary na góry te inaczej, niż przed godziną. Już nie budziły w nim melancholijnych wspomnień szczęśliwej przeszłości; zdało mu się, że kryją w modrem swem łonie jakieś nieokreślone przecucie przyszłego szczęścia.

— Jak tu czarodziejko pięknie! — zawołał. — Jakże zazdroścę pani, panno Julio, takiego widoku!

— Jabym znowu daleko wołała pańskie prazkie widoki: piękne domy, wesołe tłumy ludzi, wspaniałe ekwipaże, drogie kostyummy.

— Więc pani tęskni do miasta?

— Byłabym szczęśliwa, gdyby mnie los tam zaniósł. Ale to tylko próżne marzenie.

— Któż wie, czy życzenie pani się nie spełni?

— Oh, z pewnością nie! Jakżebym się mogła tam dostać? Muszę się pocieszać tem, że się nie rozłączę zato z temi przeslicznymi górami. Są dziś istotnie czarownie piękne. Jakby je kto z błękitu wyciosał. Poczekaj pan, zobaczę, czy kościółek na Rzypię jest biały; pan wie, przepowiada nam on mniej więcej pogodę.

Wychyliła się z okna, aby spojrzeć w stronę Rzypu, gdy w tem prosty wachlarzyk, którym bawiła się podczas rozmowy, wypadł jej z rąk do ogrodu.

— Nieszczęście! — zaszlochała zartobliwie.

— W mgnieniu oka ten wiarołomny powróci do pani.

— O, nie tęsknię wcale za nim tak bardzo... Zostaw go pan tam... Ale, panie professorze...

Stary był już w drzwiach. Spieszył do ogródka po wachlarz. Przechodząc koło pierwszego z otwartych okien, posłyszał koniec jakiejś uwagi podnauczyciela:—jako Dawid przed arką—i śmiech przytłumiony.

Jako Dawid przed arką! Zatrzymał się. Słowa te szorstko targnęły myślą jego. Wiedząc z doświadczenia, że w towarzystwie mówi się zazwyczaj o tym z jego członków, który tylko, co je opuścił, wziął owo porównanie do siebie. Krew naraz uderzyła mu do twarzy. Król-pieśniarz tańczył przed arką! Jak tańczył, niewiadomo, ale

pewnem jest, że mało który tancerz uważałby porównanie do tańczącego Dawida za pochlebny dla siebie komplement.

Ale może uwaga ta tyczyła się innej osoby lub innej rzeczy. Niejest to niepodobnem; pierwsze jednak rozwiązanie zagadki jest owiele prawdopodobniejsze. Widocznie zazdrośnik ulżył sobie za pomocą niesmacznego tego konceptu. Wywołał śmiech w gronku tych młodych ludzi—rozumie się, samo przez się; czy też i jej śmiech zabrzmiał w cichym tym chórze? Może istotnie śmieszem im się wydaje, gdy kto tańczy inaczej, nie tak nieumiejętnie, jak oni!

Eh, co tam... Stary przetarł dłonią czoło i poszedł do ogródka. Twarz jego rozjaśniła się zupełnie, gdy ujrzał w oknie świeżą figurkę Julii, wskazującej mu na dole miejsce pośród zroszonych powojów.

— Tam! Tam!

Podniósł wachlarz, ale nie podał jej go przez okno. Poniósł to cacko z powrotem do pokoju. W drodze rozpostarł go: wachlarz był cały biały, w samym środku tylko zdołał go jeden jedyny delikatny modry kwiatek. Niezapominajka miłości! Wycisnął na niej pośpiesznie gorący pocałunek.

Zaczynając znowu tańczyć, rozejrzał się bystro dokoła; podchwycił szydercze spojrzenia, zwrócone w oczekiwaniu na jego nogi, a podnauczyciel, złapany na znaczącym mrugnięciu, spuścił oczy i zaczerwienił się. Stary zaczął teraz parodować taniec pozostałych panów, kołysząc się niedbale i przechodząc jakimś istotnie niedźwiedzim krokiem z miejsca na miejsce. Ale raz jeszcze krew buchnęła mu do twarzy, gdy przed okiem jego duszy mignęła wyskakująca postać królewskiego psalmisty...

Nareszcie stary nauczyciel, zamykając z hałasem fortepian, obwieścił zebrany, że lekcya tańca się skończyła.

Ale rozochocone towarzystwo nie miało ochoty rozchodzić się. Panowie zaproponowali, aby tańce zakończyć grą w fanty. Damy chętnie zgodziły się, z warunkiem, aby przy sądzeniu fantów usunąć zupełnie wszelkie pocałunki.

Śmiech pisać o was, wy, małostkowe, ducha i poezyi pozbawione, w idyotycznych podręcznikach dobrego tonu z litości godną sumiennością układane, gry towarzyskie dla dzieci dwudziestoletnich! Śmiech pisać o was; a jednak związane jesteście tak ściśle z miłemi wspomnieniami naszej młodości, tej skromnej młodości skromnego stulecia, które nie zna barwnych turniejów pod okiem dumnych piękności, awanturczych bohaterów z otrzymanemi z drogiej ręki barwami na przyłbicach, dworów miłości, błędnych trubadorów!

Stary z wahaniem pewnem zanurzył się w ruchliwe fale tej zabawy. Ale wprędce porwał go prąd figłów i szaleństw. Dowcipkował razem z nimi, śmiał się z nimi, nie wiedząc czemu. Ciągłe zbliżenie z Julią napełniało mu serce niewymowną błogością. Płatali razem figle pozostałym, w tajemniczem porozumieniu. Jakże rozkoszny jest taki spisek ze śliczną dziewczyną! Te porozumiewające się wesołe spojrzenia, których sens znamy tylko my dwoje, te tajemnicze trącania łokciem lub ręką, ten śmiech przytłumiony, którego powód jest wspólną naszą tajemnicą! Tajemnica to nader błaha, ale mamy w niej słodki przedsmak innych, ważniejszych i rozkoszniejszych.

Przyszła kolej na wykupywanie fantów. Pan professor miał za swój fant wypełnić mało poważną rolę ślepej babki. Posadzono go z zawiązanymi oczyma tyłem do towarzystwa, a dziewczęta podbiegały doń, skubiąc go i dręcząc, jak drobne ptaszęta do uwiązane go puchacza; miał tak cierpieć, dopóki szybkim zwrotem nie złapie której z kusicielek. Ale puchacz wiedział z góry, którą złapie. Pozwolił sobie podstęp: zwolnił nieznacznie chustkę na oczach w ten sposób, że wszystko mógł widzieć w wielkim zwierciadle, które wisiało naprzeciw niego. Znosił cierpliwie skubania pozostałych i czychał w błogiem oczekiwaniu na jedną tylko śliczną ptaszynę: tę schwyta w objęcia, przycisnie do serca i

może, jeśli szczęście mu sprzyja, uniesie z sobą nazawsze.

Nareszcie wynurzyła się w lustrze jej ładnieszka twarzyczka. Zbliżała się doń na paluszkach, z pochyloną naprzód główką, z półotwartymi usteczkami, z figlarnymi błyskami w oczach. Już chciał skoczyć ku niej, ale nagle opadły mu ręce. Zobaczył w zwierciadle, jak różowym paluszkami opisała w powietrzu nad głową jego leciuchne koło, podobne do gloryi świetlnej nad głowami świętych. Naznaczyć tem wszakże chciała widocznie tylko jaśniejącą na ciemieniu jego łysinę. Zrobiła to z komiczną powagą, przeznacząc widać drwiący swój gest dla bawiącego się tam pocichu towarzystwa; uśmiechnięte oczęta zwróciła specjalnie w jedną stronę, gdzie spotkała spojrzenie pana podnauzyciela, śmiejącego się w garść pocichu.

Zazwyczaj kreślą czarodzieje koło przed rozpoczęciem swych nadprzyrodzonych doświadczeń; tu to leciuchne kółko powietrzne spłoszyło naraz upajający czar, który więził dotąd gościa prazkiego. Koło to paliło go na głowie, jakby ognistym nakreślone tam palcem. Złote myśli pierzchyły, błogie uczucia znikły. Rozwiał się złudzenie miłości i młodości—stał się znówu naraz starym mrukiem. Serce ścisnęło mu się boleśnie. To szyderstwo na jej ustach, to spojrzenie! Okrutna! A przecież—któż może się rozgniewać za taki urwisowski figiel na miluchnego dyabła?

Stary powstał i zdjął chustkę z oczów. Zwrócił się z ukłonem do towarzystwa.—Poddaję się!—rzekł, zmuszając usta do uśmiechu.—Nie złapałbym żadnej z pań. Jestem już za stary niedołęga. Dziękuję wam zarazem, panie i panowie, z całą serdecznością za piękną, miłą chwilę, którą pośród was spędziłem. Muszę was już pożegnać. Czas mi dalej w drogę.

—Jakto? już, panie profesorze?—żałował nauczyciel.—Ale musisz pan przynajmniej szklaniczkę jeszcze wychylić przed odejściem.

—Dzięki. Jeżeli mam otrzymać coś na pożegnanie, to prosiłbym o jedno. Panna Julia mówiła mi, że śpiewa. Prosiłbym o jedną piosnkę.

Po krótkim wzdraganiu się siadło dziewczę do fortepianu.

Stary usiadł przy oknie i w rozmarzeniu spoglądał na nią, jak delikatnymi paluszkami biegała po klawiszach. Figlarność znikła z jej twarzyczki. Zwolna rozkładała się na niej cień, takisam właśnie, jaki wkładał się czasem na twarz ukochanej nieboszczki. Była niewymownie piękną w tej chwili. Po jakimś czasie gość odwrócił oblicze i oparł czoło na dłoni. Chciał teraz usłyszeć raz jeszcze, raz ostatni, w całej piękności, ten cudny alt, ten srebrny dzwonek z bajecznej toni przeszłości. W bolesnem, a razem słodkiem oczekiwaniu bawił się wachlarzem, który dziewczę na oknie położyło, i zapatrzył się w dal na modre góry....

„Zahuczały góry, zahuczały lasy:

„Gdzieście się podziały, gdzieście się podziały,
[moje młode czasy?]

Zabrzmiało tklawie w pokoju, załkało czarownie z tych lubych ustek dziewczęcych, zadzwoniło srebrzyście z niewymowną słodyczą. Tak, zahuczały góry, zahuczały lasy! Huczały, szumiały zdaleka, zgłęboka, o zwiędłych kwiatach o pierzchłych pieśniach, o zgasłych gwiazdach, o martwej miłości, o zniszczonych nadziejach, o upadłych ideałach, o rajach straconym, o smutnym śnie szczęścia, o krótkiej wiosnie życia... o marności, marności, marności... Szumiały, huczały,

aż dobrzmiały łagodnym jękiem z wątego gardła dziewczęcogo:

„Jeszcze się ten kamień w tej wodzie obróci,
Ale moja młodość, ale moja młodość już się nie
[powróci!]

Kropla rosy zaślśniła na niezapominajce przeszłości, na tym samotnym modrym kwiatku białego wachlarza.

Stary wstał i klaskał razem z innemi. Potem raz jeszcze gorąco podziękował śpiewaczce, ścisnął jej rączkę i pożegnał się z resztą towarzystwa.

Wyszedł z domu, ale nie udał się dalej w kierunku wsi rodzinnej. Spojrzył tylko jeszcze na modre góry w oddali, na pstrego kamiennego żaczka na frontonie szkoły, i począł powrotną drogą schodzić ze szczytu przez aleję młodych brzoź, która niedawno tutaj go doprowadziła. Kroczył śpiesznie, jakby uciekając przed kimś. Zatrzymał się zadyszany dopiero u podnóża pagórka i ztąd obejrzał się jeszcze w górę na czerwona wieżyczkę kościółka i gontowy dach szkoły. Potem zdjął kapelusz, otarł z twarzy i z łysin krople potu, machnął parasolem i mruknął niechętnie: „Morał: nie wybieraj się z łysą głową na wycieczki w krainę młodości!”

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Warszawska kassa oszczędności** liczy 42.761 uczestników, kapitał złożony jest 1.993.385 rubli.

— **Album starożytnych gmachów Warszawy** ma się ukazać na widok publiczny. Pracuje już nad nim kilku malarzy warszawskich. Można wróżyć wydawnictwu powodzenie.

— **Wystawa dzieł Kostrzewskiego**, pędzla i ołówka, będzie otwartą w salonie Krywulca w pierwszych dniach Czerwca, podzielona na trzy działy: krajobrazów, humorystyczny i rodzajowy. Jest to owoc 50 lat pracy; zajmującą tu będzie ilustrowana kronika Warszawy z przeciągu tego czasu: widok wystaw rolniczych, zabaw publicznych z portretami ich uczestników, grupy osobistości znanych, karykatury. Prawie wszystko to jest własnością prywatną, wystawie użyczoną.

— **Hygiena wzroku**, z dzieła znanego okulisty paryzkiego Dr. Gałęzowskiego, streszczona broszura przez Dr. Starkmana, wyszła z druku.

— **Zbiór melodyi litewskich** w liczbie 1.740, spisanych przez ks. Juszkiewicza przesłany został Akademii Krakowskiej z Dorpatu.

— **Akademia Krakowska** otrzymała z zakresu etnografii inne równie ważne przyczynki. P. Leszczyca nadesłał 165 krakowiaków i 68 pieśni ruckich, p. Rokossowska zbiór pieśni i gadek ludowych, p. Franko ze Lwowa rękopism zawierający 1.500 przysłów, zdań i wyrażań ludowych. W dziale archeologii przedhistorycznej nadesłali wykopaliska i opisy: Kościński z Infant, Pułaski i Naiman z okolic podolskich. St. Cieszkowski zamierza również złożyć Akademii cztery tomy obejmujące monografią etnograficzną zjazdu krakowskiego.

— **Pomnik sympatycznego poety** Edmunda Wasilewskiego na cmentarzu krakowskim zostanie odświeżony kosztem miasta.

— **W depozycie** u adwokata lwowskiego d-ra Popiela znajdują się złożone tam przez nieboszczkę hr. Platera z Rapperswyłu dokumenta i listy mogące służyć w braku testamentu nieboszczki za wyrażenie jego ostatniej woli, zastępującej akt fundacyjny. Jest to kontrakt 99-letniej dzierżawy zamku rapperwylskiego, podpisany przez prezydenta Curtié na rzecz Muzeum datowany w r. 1869, oraz legalizowana przez odpowiednie władze deklaracja hr. Wład. Platera z r. 1870, uznająca Muzeum za własność ogółu. Oba dokumenta zostały wręczone jeszcze dawniej p. Popielowi po rokowaniach hr. Wład. Platera z Bielowskim Aug., Młockim Alfredem, Fredrą Aleks., Szmitem Hen. i Wiśniewskim Wikt. Piszą, że w sprawie Muzeum dr. Gałęzowski z Paryża pojechał do Szwajcaryi.

— **Błędna Gwiazda**, dramat Bronisława Komorowskiego, grany we Lwowie, miał wielkie powodzenie. Autora przywoływano trzykrotnie.

— **Biblioteka polska w Wiedniu** zgromadziła członków swoich na walne zebranie d. 1-go b. m. Po wysłuchaniu sprawozdania i sprawdzeniu rachunków, wyrażono żądanie, aby odczyty, bardzo zadawalniające członków, odbywały się częściej, niż co miesiąc, jak to jest teraz. Podniesiono zasługi sekcji szkolnej wydziału za skuteczne staranie o naukę języka polskiego dla dzieci polskich w Wiedniu zamieszkałych. Uchwalono za to podziękowanie Wydziałowi oraz członkom Biblioteki Polskiej, wyrażając zarazem życzenie, ażeby dzieciom rodziców niezamożnych ułatwić pobyt na wsi w kraju podczas wakacji szkolnych. Wydział składa się z 10 członków i prezesa księcia Jerzego Czartoryskiego.

— **Wykopalisko pod Hamburgiem** odsłoniło starożytny amfiteatr mogący pomieścić 8.000 osób. Są to już ruiny.

— **Podczas wystawy Paryzkiej** odbędzie się 69 kongressów międzynarodowych.

— **Akademia Umiejętności w Berlinie** udzieliła znacznych funduszy na zasiłki dla podróżników zwiedzających Afrykę. Położono tu nacisk, aby podróżnicy ci zwracali uwagę na warunki mniej więcej odpowiadające kolonizacyi.

— **Kula ziemska** liczy ludności miliard 300 milionów. Dziennie umiera na świecie 96.480 osób, na godzinę 4.020, na minutę 67. Rodzi się rocznie 36.792.000 dzieci; dziennie 100.800, na godzinę 4.200, na minutę 70. W małżeństwie żyją ludzie najdłużej. Liczba mężczyzn jest w przybliżeniu równa liczbie kobiet. Wiek średni człowieka liczy się lat 33; z tysiąca osób jedna tylko dożywa lat stu, sześć umiera w 65 roku. Wyznań religijnych jest na ziemi około tysiąca, języków 3.064.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 6-ty powieści pod tytułem **Alicya O'Brien**, przez Skeffingtona Thompsona.

TREŚĆ: Zwrotki, poezye, przez J. K. Ehrenberga. — **Słowa a czyny**, powieść przez Sewera. — **Nowiny paryzkie**. — **Jan Rowland Stanley**. — **Przegląd Piśmienniczy**, przez Kazimierza Króla. — **Wyciecka w krainę młodości**, przez Świętopełka Czecha, przełożył z czeskiego Z. P. — **Z bieżącej chwili**

Dodatek obejmuje: Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: **Alicya O'Brien**, przez Skeffingtona Thompsona. — **Przegląd mód**. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycya stołu**.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 3 Мая 1889 года.